Argentyna i Paragwaj

Ambasada Polska w Buenos Aires.

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Polskie ślady w Argntynie i Paragwaju. Dziennik z lat 1990-91.

Na lotnisku Aeroparque w Buenos Aires czeka na mnie mąż kuzynki Izy, Gabriel Kellner. Zaprasza na kolację w restauracji, niedaleko lotniska. W życiu nie jadłem tak wspaniałego mięsa! To było *bife de chorizo*, nigdy nie zapomnę: soczysta, pyszna, doskonale miękka poducha. Jedziemy do dzielnicy San Isidro, gdzie w hotelu mam

zarezerwowany pokoik. Jakoś nie najlepiej się czuję. Rano przemierzam dusznym autobusem chyba kilkanaście kilometrów do Ambasady Polskiej, przy ulicy Alejandro María de Aguado, w dzielnicy Palermo Chico. W rozmowie z ambasadorem Balewskim dostaję zgodę na spędzenie w pokoju gościnnym Ambasady jednego tygodnia. Konsulem jest ten sam pan, który był w roku 1977 sekretarzem Ambasady Polskiej w Meksyku. Teraz ma zmienione nazwisko (sic!), ale jest wciąż bardzo życzliwy i sympatyczny. Udziela mi bezcennych wskazówek na temat Polonii, polskich księży i rozmaitych osób, które okażą mi się użyteczne w moich podróżach. Przenoszę się z hotelu do Ambasady, zdaje się, tego samego dnia, czyli w poniedziałek, 12 listopada 1990 roku.

Buenos Aires. Pomnik Nieśmiertelnego Dziadka, Generała San Martina.

Pierwszy spacer po ogromnym Buenos Aires. Najbliżej jest plac Grand Bourg i Instytut bohatera narodowego, San Martína z jego pomnikiem, na którym

wyobrażony jest jako dziadek rozmawiający z dwiema wnuczkami, *Gran Abuelo* (Wielki Dziadek). Dalej, przestronny plac i oto w tumanach kurzu pędzi cała sfora psów różnej rasy i maści, a trzyma je na smyczach jeden „wyprowadzacz”. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Po prawej, gigantyczny pomnik generała Carlosa Maríi de Alveara (1789-1852), otoczony wielkimi drzewami. To dzieło Antoine’a Bourdelle’a. Stąd już nie tak daleko do cmentarza Recoleta, za którym tętni aleja Santa Fé. Po lewej, wieża Anglików i dworzec Retiro, a prosto, Plac San Martína z ogromnym rozłożystym *ombú*.

Buenos Aires. Kościół Matki Boskiej z Kolumny (Pilar).

W ciągu tygodnia, jaki spędziłem w Buenos Aires, odwiedziłem Argentyńską Akademię Literatury (*Academia Argentina de Letras*) i akademię miejscowego żargonu miejskiego *lunfardo* (*Academia Porteña del Lunfardo*), gdzie poznałem osobicie jej sympatycznego sekretarza, José Gobello, z którym kontakt mam do dzisiaj, jako członek korespondent tej akademii na Polskę. Ponadto, spotkanie na Wydziale Filozofii i Filologii (*Facultad de Filosofía y Letras*), na ulicy 25 de Mayo

221, w dawnym hotelu “Palace Hotel”, wówczas bardzo zaniedbanym. Na spotkaniu jest obecna wybitna lingwistka argentyńska Ana María Barrenechea (1913-2010). Opowiadam o moich badaniach dialektalnych w Wenezueli.

W przeddzień mojego wyjazdu do Concepción del Uruguay, w niedzielę, 18 listopada, uczta zorganizowana na moją cześć przez ciotkę Zytę i moich kuzynów, Izę i Jurka. Dostali ode mnie sporo prezentów i postanowili mi się odwdzięczyć w ten sposób. Pojechaliśmy bardzo daleko za miasto, do restauracji specjalizującej się w pieczonym na ruszcie mięsie. Było to przy Szosie Panamerykańskiej, gdzieś niedaleko domu Jurka. Uczta była rzeczywiście wspaniała.

W poniedziałek, 19 listopada, wyjazd autobusem z dworca Retiro do miasta Concepción del Uruguay, 297 km. Mijam El Tigre, most Zárate i po czterech godzinach osiągam cel. Czeka na mnie Jorge Díaz Vélez. Oświadczył mi potem, że kogoś, kto śpiewa tanga tak jak ja, Argentyńczyk nie może zapomnieć, choć upłynęły 23 lata od naszego pożegnania w Maladze… To miłe z jego strony. Ulokował mnie w hotelu, a potem zaprosił do domu. Poznałem jego żonę i liczną rodzinę, także jego młodych współpracowników, dla których wygłosiłem pogadankę o moich badaniach dialektalnych. Byli to Fernanda Spada, Fabián Jesús Poerio i Betina Hercolini. To z nimi pojechałem do Pałacu San José, rezydencji gubernatora prowincji Entre Ríos, a także prezydenta Argentyny, Justo José de Urquiza (1801-1870), zamordowanego właśnie w tym pałacu położonym w obszernym parku.

Jeden z synów Jorgego towarzyszył mi w spacerze nad rzekę Urugwaj, jedną z trzech (obok Parany i Paragwaju), które tworzą bezkresną La Platę.

Jorge Díaz Vélez należał do „bractwa”, którego jedną z zasad była wzajemna pomoc w różnych życiowych sytuacjach. Skierował mnie do miejscowości Eldorado w prowincji Misiones, gdzie mieszkała i pracowała w średniej szkole agrotechnicznej jego koleżanka z tego „bractwa”. Była to młoda i ładna osoba pochodzenia ukraińsko-włoskiego. I tak, bardzo odległe Eldorado (1200 km od Buenos Aires, a 900 od Concepción del Uruguay) stało się kolejnym punktem na mojej trasie. Zamieszkałem w internacie szkoły agrotechnicznej, w warunkach skrajnie skromnych, a pod względem sanitarnym i bezpieczeństwa pozostawiających wiele do życzenia. Łazienka była tak brudna, że musiałem ją sam szorować, a „sprzątaczka”,

miejscowa Metyska, w czasie mojej nieobecności nie omieszkała zabrać z mojej walizki złote pióro, które sprezentowała mi w Madrycie na urodziny moja była żona (sic!). Posiłki w stołówce były niestrawne, zwłaszcza, że maleńkie muszki natychmiast wpadały do talerza. W czasie pierwszego obiadu towarzyszyli mi uczący w tej szkole Polak, Kazimierz Krzynówek i jego żona Paragwajka. Przynieśli biały obrus i serwetki, ale miało to miejsce tylko wtedy, jeden jedyny raz, „na dobry początek”…

Nocny ptak urutaú (Nyctibius griseus).

A teraz plusy. W Eldorado jest kilka rodzin polskiego pochodzenia. Bardzo przyjemne były nagrania moich rozmów z panią Teklą i z państwem Bieleckimi, a także rozmowa ze starszym Niemcem w przytułku dla osób starszych i chorych. Ten dystyngowany pan mówił bardzo poprawnie po polsku, jako że mieszkał jakiś czas w Polsce, a jego pierwszym pytaniem do mnie było: „W jakiej pan mieszka guberni?” Wieczorami dochodziły z pobliskiego lasu żałosne jęki nocnego ptaka, zwanego tutaj *urutaú* (*Nyctibius griseus*). Z Eldorado pojechałem na jeden dzień do państwa Lafere do pobliskiego Montecarlo, 24 km na południe. Okazali się kulturalni i gościnni. Mimo francuskiego nazwiska, oboje są Polakami.

W poniedziałek, 26 listopada, jadę z księdzem Bronisławem Trafasem do odległego San Ignacio Miní (141 km na południe), gdzie ruiny misji jezuickich z XVII-XVIII wieku. Zachowały się fragmenty murów, łuki, posągi i piękne barokowe

płaskorzeźby, obszerne dziedzińce. Zanim zacznie się wieczorny spektakl „Światło i dźwięk” o historii powstania, egzystencji i zniszczenia tej misji (Jezuici zostali wypędzeni stąd w 1768), jedziemy do zrekonstruowanego domu wybitnego pisarza urugwajskiego Horacio Quiroga (1878-1937). Znajduje się na wysokim brzegu Parany, na obszernym terenie porośniętym palmami. Widok wspaniały. Wieczorny spektakl wśród ruin misji jezuickiej wzruszający, choć efekty dźwiękowe nieco za głośne.

Wodospady rzeki Iguazú.

We wtorek, 27 listopada, z Kazimierzem Krzynówkiem do wodospadów Iguazú, 100 km na północ. Zabawiliśmy tam prawie cały dzień. Najpierw górna ścieżka, potem dolna i spotkanie z ostronosami rudymi. Na koniec pojechaliśmy do Diablej Gardzieli (*Garganta del Diablo*). Idzie się bardzo długim drewnianym pomostem nad rzeką Iguazú do miejsca, gdzie woda spada do ogromnej wyrwy. Na jej dnie widać tylko

skłębioną parę wodną. Widoki wodospadów są nadzwyczaj piękne. Podziwialiśmy je najpierw od strony argentyńskiej, a na koniec z brzegu brazylijskiego. Woda spada z wysokości 80 m bardzo licznymi kaskadami. Jest ich 275 na przestrzeni prawie 3 km, a wszystko to w sercu misjoneńskiej dżungli, gdzie poza ostronosami widać często tukany i papugi. Oczywiście, kolorowe motyle. Upał nieziemski, wilgotność powietrza zawrotna. Na kolację pojechaliśmy do brazylijskiego miasta Foz do Iguaçu.

Na przełomie listopada i grudnia Kazimierz Krzynówek zawiózł mnie do Kolonii Wanda, do starszego brata, Jana Krzynówka. Tam spędziłem kilka bardzo przyjemnych dni. Osób polskiego pochodzenia jest w Wandzie znacznie więcej, niż w Eldorado. Niektóre nagrania były bardzo ciekawe. Któregoś dnia (a było to chyba w niedzielę, 2 grudnia) zaprosili mnie na obiad pan Krzyszycha i jego bardzo miła żona Angielka. Pan Krzyszycha podczas wojny był, jak wielu Polaków, w RAF-ie i tam poznał swoją przyszłą żonę. Opowiadali mi swoje przygody w Anglii. Zwiedziliśmy razem sklep z kamieniami półszlachetnymi przy kopalni tych minerałów w Wandzie, a pani Krzyszychowa kupiła mi na pamiątkę figurkę żółtego ptaka o czarnych skrzydłach. Stoi do dziś na moim telewizorze.

Przed domem Jana Krzynówka rosły drzewa, cały ich rząd. Było to ulubione miejsce kolibrów. Oblatywały je gromadnie. Wpadałem w zachwyt na ich widok. Kiedyś odwiedził mojego gospodarza pewien młody Paragwajczyk. Okazało się, że jest to zięć Niemca Bussa, który mieszka między Wandą a Puerto Esperanza. Nalegał, abym ich odwiedził i nazajutrz przyjechał po mnie furgonetką, by zawieźć mnie na obiad u państwa Bussów. Jedliśmy na obszernym tarasie, z cudownym widokiem na rozgrzaną puszczę misjoneńską, która ze wszech stron otaczała ten dom. Nie mogłem się napatrzeć. Był na tym obiedzie jeszcze jeden Niemiec z żoną. Zwróciłem uwagę jak dokładnie były objadane wszystkie kosteczki i odkładane z pietyzmem na specjalny talerz. Starałem się naśladować biesiadników w tym względzie, ale im nie dorównałem.

5 grudnia znalazłem się w stolicy prowincji, Posadas i zatrzymałem się na dwa dni u pani dziekan Wydziału Humanistycznego miejscowego Uniwersytetu. Jej nazwisko: Ana María Camblong. Była to młoda i ładna osoba. Mieszkała z synem w eleganckiej willi. Umówiła mnie z Karolą Szychowską-Styczyńską, która 7 grudnia miała na mnie czekać w Apóstoles na przystanku autobusu z Posadas. Odległość z Posadas do

Apóstoles wynosi 62 km. W istocie stał tam bardzo elegancki samochód, a w nim przemiła Karola. Nie zapomnę, jak upiorny zaduch panował wewnątrz. Migiem pokonaliśmy 13 km dzielące Apóstoles od La Cachuera, czyli dawnego majątku państwa Szychowskich. Teren wypielęgnowany, zadrzewiony, nad rzeczką tworzącą niewielką kaskadę (stąd nazwa La Cachuera). To właśnie tam stał kiedyś młyn do mielenia ryżu, zbudowany przez ojca Karoli. Duży biały dom, a w ogrodzie mały domek, gdzie zamieszkałem. Wyżej, dom, gdzie mieszkał wówczas przyjaciel męża Karoli, pochodzący z Mysłowic, Polak z żoną Urugwajką, a dalej cmentarz rodziny. Poznałem pana Dzidka Styczyńskiego (Karola mówiła o nim „Zidek”) oraz dwa wilczury wabiące się „Bajeczka” i „Malutka”.

Wzgórze Oliwne (Cerro Aceite) w Paragwaju.

Idealna cisza. Ulubionym miejscem moich spacerów była rzeczka i kaskada. Na nagrania jeździłem do Apóstoles, gdzie na głównej alei pomniki polskości: Matka Boska Częstochowska, polski wóz oraz argentyńskie naczynie do picia mate, Taras Szewczenko (ten pomnik wystawili miejscowi Ukraińcy)… Byłem także w Azara, gdzie księdzem był wówczas Antoni Sołdyga. Jeden z braci Karoli był ważnym urzędnikiem państwowym i kiedyś wygłaszał bardzo barokowe przemówienie na otwarciu stadionu (?) w jakiejś małej miejscowości, chyba już w prowincji Corrientes. Nie zapomnę, jak bardzo się wówczas wynudziłem! Po polsku ten pan nie mówił.

17 grudnia zatrzymałem się w Posadas na krótko u kolegi Jorgego Díaza Véleza. Także należał do owego "bractwa". Stamtąd, pochodzący z Pyskowic ksiądz Kudlek zawiózł mnie do Colegio Fátima, w miejscowości Miguel Lanús, 8 km za Posadas, w kierunku Santa Ana. Jest to rodzaj pensjonatu dla księży werbistów. Był tam jeden Niemiec wyjątkowo niemiło do mnie nastawiony i to bez najmniejszego powodu! Taki jakiś „antypatyk"! Kilka dni przed Bożym Narodzeniem, 19 grudnia, ksiądz Eugenio Basiński zabrał mnie do Campo Viera, do włości Miguela Antonia Skowrona, ale po drodze było Bonpland, Picada Polaca, Santa Ana i Loreto, gdzie ruiny misji jezuickich z XVII wieku, San Ignacio Miní, Gobernador Roca, Jardín América. Campo Viera jest niewielką miejscowością, w której dominują zabudowania młyna i wielkiej suszarni herbaty oraz willa ich właściciela, Miguela Antonia Skowrona. Zamieszkałem w małym oddzielnym domku dla gości, niedaleko basenu. Żona pana Skowrona jest pochodzenia serbskiego. Prawdziwa „baba Herod". Z dumą opowiada wszem i wobec, że jej się wszyscy boją. Syn David to miły chłopak, dobrze ułożony, w odróżnieniu od mamy. Kiedyś chciał mnie koniecznie po polsku zawołać na obiad, ale nie był pewien i zapytał babci. Po czym rozległo się jego wołanie w moim kierunku: „Chodźta jeść!"

Akacja tropikalna (Delonix regia).

Dookoła zielone łany herbaty. Yerby mate tutaj mniej. Miguel Antonio Skowron jest dynamiczny, konkretny. Zrobił całą listę osób, z którymi powinienem przeprowadzić wywiady. Zapamiętałem jego matkę w Campo Grande i przystojnych panów Kapelińskich, niedaleko Campo Viera. Oczywiście, rozmawiałem przynajmniej z dziesięcioma osobami, których nazwiska uleciały mi z pamięci. Na wigilię zaprasza mnie pan Adolf Dubil do Campo Grande. W ciągu dnia wycieczka do wodospadu *Salto Encantado* (Zaczarowany Wodospad), koło Aristóbulo del Valle. Oprócz państwa Dubilów, ich urodziwa córka z narzeczonym. Potok Cuñá Pirú w głębokim skalistym kanionie spada z wysokości 70 m wąskim jęzorem. Cień, przyjemnie, wokół sosnowy las. U stóp wodospadu naturalny basen, w którym pływamy. Po powrocie, wieczerza wigilijna pod gołym niebem. Je się tutaj wszystko. Pamiętam, że był kurczak i różne sałatki. Byliśmy w kościele na pasterce, ale kolęd polskich nie było i w ogóle wszystko odbyło się po hiszpańsku. Niestety, coś mi strasznie zaszkodziło. Pewno picie słodkiej oranżady… Biegunka upiorna! Muszę przyznać, że pan Dubil mówi wyśmienicie po polsku. Właściwie jest to jedyna osoba, której polszczyzna jest

absolutnie nienaganna. Zawdzięcza to lekturom. Bardzo dużo czyta po polsku. W Boże Narodzenie próbuję się wyleczyć, a 26 grudnia wracam do Campo Viera, do państwa Skowronów.

27 grudnia odwiedzam w Oberá państwa Cieplińskich i zatrzymuję się tam na jedną noc. Pani Cieplińska jest włoskiego pochodzenia, ale mówi trochę po polsku, a córeczka pozuje mi na balkonie do zdjęcia ubrana w strój krakowski. Wieczorem nagranie u starszej pani, która z humorem opowiada mi o tamtejszych wężach i innych zwierzętach. Wraca z pracy jej wnuczka, która pyta mnie, czy ja też mówię „po kastyziu". „Kastyź" to przepiękna nazwa języka hiszpańskiego wśród tutejszych Polaków, a pochodzi stąd, że w Argentynie na język hiszpański mówi się *castellano* (wymawiane „kasteziano").

29 grudnia państwo Skowronowie wiozą mnie do Gobernador Roca. Nocuję w hotelu w San Ignacio, a nazajutrz, nagrania w Gobernador Roca i po południu powrót do Colegio Fátima pod Posadas. 31 grudnia jestem zaproszony na wesele córki pana Kalafarskiego, wiceprzewodniczącego Związku Polaków w Posadas. Przyjęcie odbywa się w wielkiej sali siedziby Związku. Mnóstwo jedzenia, tańce. Przewija się najsłynniejsza melodia „*Ritmo de la noche*" (Rytm nocy). Po północy ktoś z gości weselnych odwozi mnie do Colegio Fátima, gdzie zostaję do 3 stycznia 1991. Podczas pobytu w Posadas poznaję malarza Zygmunta Kowalskiego i jego bardzo przystojną żonę.

3 stycznia rano wyjazd do miasta Corrientes, stolicy prowincji o tej samej nazwie. Mijam wielkie rozlewiska *Esteros del Iberá*, gdzie nenufary, biało-liliowe *camalotes (Eichhornia azurea)*, kajmany i kapibary. Po przebyciu tym razem stosunkowo krótkiego odcinka 354 km jestem w Corrientes, gdzie czeka na mnie prof. José Miguel Irigoyen (1912-1995), znawca języka guaraní, lingwista, przyjaciel Jorgego Díaza Véleza. Spędzę u niego sześć dni. Urokliwy jest plac 25 Maja oraz promenada nad Paraną. Trochę architektury kolonialnej i bardzo długi, nowoczesny most im. generała Belgrano na Paranie. Ale upał wściekły, nawet późnym wieczorem wracam do domu zlany potem. José Miguel Irigoyen zna osobiście konsula Paragwaju, więc udziela mi skutecznego poparcia w konsulacie paragwajskim i wizę paragwajską dostaję bez trudu. Na dodatek, pan konsul podaje mi adresy i telefony osób, z którymi powinienem się skontaktować. Przed wyjazdem do Paragwaju wysyłam

sporą część bagażu do Concepción del Uruguay, na adres Jorgego.

Stolica Paragwaju Asunción.

9 stycznia wyjazd do Paragwaju. Odległość 307 km, a więc bliżej, niż z Posadas do Corrientes. Przejazd przez most im. Generała Belgrano na Paranie i potem przez Chaco i Formosę. Moją bazą jest miasteczko Ñemby, 20 km od Asunción. Mieszkam u młodych kleryków polskich ze zgromadzenia Świętego Michała Archanioła. Ich przeor poznał na kursie francuskiego w Szwajcarii moje byłe studentki, jak się okazuje. Dojazdy, często zatłoczonym autobusem, są uciążliwe. W autobusie słyszę często rozmowy w języku guaraní. Asunción było bardzo ważnym miastem w okresie konkwisty i kolonizacji Ameryki. Stąd wyruszały wyprawy na podbój okolicznych terytoriów (Argentyna, Urugwaj, Boliwia). Mimo to, zabytków kolonialnych zachowało się niewiele. A dlaczego? Zagadka się wyjaśnia: dyktator José Gaspar Rodríguez de Francia (1766-1840) wyburzył całe dawne centrum kolonialne i kazał

wybudować nowe. Miasto leży nad zatoką rzeki Paragwaj, na wzniesieniach. W centrum, elegancki Pałac Lopezów (*Palacio de los López*) XIX, siedziba rządu. *Casa de la Independencia* (Dom Niepodległości) jest niewielką parterową budowlą z drugiej połowy XVIII. Obecnie mieści się tam muzeum. Obok, Historyczna Uliczka, ze stylowymi latarniami. To tędy przeszli bojownicy o niepodległość tuż przed jej uzyskaniem. Obecna katedra została wzniesiona w 1845, na Placu Niepodległości. Dawny ratusz (*cabildo*), a obecnie Centrum Kulturalne Republiki, z arkadami w ścianie frontowej, to budynek z pierwszej połowy XIX. Klasycystyczny Panteon Bohaterów i jednocześnie oratorium patronki Paragwaju, Matki Boskiej Wniebowzięcia, z elegancką kopułą, ukończono w 1937. Teatr Miejski im. Ignacia Pane zbudowano pod koniec XIX.

Katedra w Asunción.

Najbardziej imponujący jest widok na rzekę Paragwaj, szeroko rozlaną u stóp Asunción. Samo miasto to jeden wielki bazar: mnóstwo sklepów koreańskich. Coraz więcej też wysokościowców. Z dala od centrum, Ogród Botaniczny i Zoologiczny, gdzie także muzeum historii naturalnej w dawnej rezydencji podmiejskiej Carlosa Antonia Lópeza, z 1840, będącej typowym przykładem architektury paragwajskiej. Budynek jest długi, jednopiętrowy, arkadowy, z kolumnami na obu kondygnacjach. Prezentuje się bardzo elegancko. W ogrodzie botanicznym miejscowe drzewa *samuú (Chorisia speciosa*), czyli puchowce o bardzo kolczastym pniu, zaś w zoo, okazy miejscowej fauny: ostronosy, iguany zielone, dzikie świnie *taguá (Catagonus wagneri*), sowy uszatki (*Pseudoscops clamator*), strusie *ñandú (Rhea americana*).

W Asunción odwiedziłem Ministerstwo Oświaty, Spraw Zagranicznych, Ateneum Języka i Kultury Guarańskiej, siostry Augusta Roa Bastosa, redakcję dziennika *ABC,* gdzie zaproszono mnie na znakomity obiad i tuż po nim znany dziennikarz (inwalida na wózku) przeprowadził ze mną obszerny wywiad na temat mojego przekładu na polski książki Augusta Roa Bastosa *Syn człowieczy*. Siostry pisarza przyjęły mnie niezwykle serdecznie. Odwiedziłem je parokrotnie i czułem się tam, jak u siebie w domu.

W piątek, 11 stycznia, młody polski kleryk, znajomy moich michaelitów, zabiera mnie do siebie, do miejscowości Natalicio Talavera, w departamencie Guairá, 180 km od Asunción. Mijamy po drodze słynne, opiewane w piosenkach jezioro Ipacaraí, dalej, Caacupé z cudowną Matką Boską. Tego samego dnia jadę do stolicy departamentu, Villarrica. Tam ciekawy i oryginalny kościół Matki Boskiej Wniebowzięcia w dzielnicy Ybaroty. Z czerwonej cegły, pseudogotycki, 1957. Okazała katedra Świętego Ducha, koniec XIX. Stacja kolejowa, parterowe Muzeum Miejskie Mistrza Fermína Lópeza, z kolumnami wspierającymi arkady, także z końca XIX. Dawny Uniwersytet Katolicki, w tym samym stylu paragwajskim, co wymienione muzeum, z 1900. Ciekawe są mini dwukółki z daszkiem. To rodzaj konnych taksówek, zwanych *carumbes.*

Paragwajski taniec galopera.

Po południu, a właściwie już pod wieczór, wsiadam do autobusu jadącego do Itapé, 17 km stąd. Toczy się z wolna po piaszczystej drodze jeszcze z epoki kolonialnej (tak zwane *camino real*). Takich dróg w Paragwaju jest jeszcze bardzo wiele. Ale krajobrazy! Wzgórza, palmy, kępy bambusów nad strumieniami, skłębiona roślinność. To tu rozgrywa się akcja *Syna człowieczego.* Wchłaniam w siebie całą tę scenerię, pożeram ją. Droga prowadzi prosto, bez zakrętów i tylko wznosi się i opada na zmianę, jak w kolejce górskiej. Wewnątrz autobusu mnóstwo ludzi z tobołkami, zakupami. W Itapé, nad rzeką Tebicuary Mí, kaplica z kopią Cudownej Matki Boskiej z Caacupé, zwaną tutaj Matką Boską Pielgrzymującą lub Matką Boską znad Brodu. Dalej, bardzo stylowy kościół Świętego Izydora Rolnika, wyglądający na stary, ale pewno, jak prawie wszystko w Paragwaju, pochodzi z XIX. Nigdzie nie mogę znaleźć o nim żadnej informacji. Nocuję u księdza Nelsona Severiana Vegi. Mieszka z matką staruszką. Oboje bardzo mili i gościnni.

12 stycznia rano biegnę jeszcze nad rzekę Tebicuary Mí, a potem podróż do Iturbe (około 40 km na południe), gdzie Roa Bastos spędził dzieciństwo i młodość. Cukrownia, w której pracował jego ojciec, most na rzece Tebicuary Mí. Powrót do Villarrica (35 km), skąd do Natalicio Talavera (24 km). Nocuję na tarasie pod moskitierą (z przygodami, bo moskitiera spada na mnie w pewnym momencie). Nazajutrz stopem do Ciudad del Este, około 150 km. Samochód prowadzi młody sympatyczny człowiek, obok niego matka. Częstują mnie *tereré* (zimną mate). Jadą na jakieś wesele. Gdy im mówię, że będę musiał przenocować w Hernandarias, kierowca oświadcza, że jego siostra, właścicielka apteki tamże, bez problemu przygarnie mnie na noc. Wyjaśnia mi, gdzie to jest i zaznacza, bym przyszedł po zmroku, bo wcześniej nie będzie nikogo. Dziękuję.

Plantacja bawełny w Chaco.

Uciekam czym prędzej z nieciekawego i hałaśliwego Ciudad del Este. Byle prędzej do wodospadu na rzece Monday. Upał. Po wodospadach Iguazú nie robi już na mnie takiego wrażenia, ale jednak. Wodospad ma 120 m szerokości i spada trzema

odnogami z wysokości około 40 m, a niżej tworzy kolejny próg, znacznie niższy. To tu Natividad i Cristóbal, bohaterowie Roa Bastosa, piją chciwie wodę, po długiej i wyczerpującej ucieczce z plantacji yerba mate w Tacurú Pucú. Woda jednak nie zachęca do kąpieli: jest mętna, koloru kawy z mlekiem.

W Hernandarias zjawiam się jeszcze przed zachodem słońca. Bez trudu zlokalizowałem aptekę i dom tuż koło niej. W pobliskim barze zamawiam coca-colę, potem drugą i wówczas właścicielka pyta mnie, czy jestem pisarzem. Odpowiadam: „No tak, można tak powiedzieć". Wtedy ona biegnie na zaplecze i przynosi mi egzemplarz ostatniego *ABC*, gdzie moje wielkie zdjęcie i artykuł z tytułem: „Tłumacz zafascynowany oryginałem" i cały wywiad ze mną. Dzieci właścicieli wydzierają mi prawie gazetę, spoglądają to na zdjęcie to na mnie, wyraźnie poruszone. Gdy się ściemniło, proszę jednego z chłopców, by poszedł do owego domu przy aptece i zapytał, czy już mogę przyjść. Wraca skonfundowany i wyjaśnia, że właścicielka domu oświadczyła mu, że nie zna żadnego Polaka i że w ogóle nic o nim nie chce wiedzieć. Nie daję za wygraną i idę tam z tym chłopcem. Na podwórku bawią się dwie dziewczynki, które proszę, by zawołały mamę. Dziewczynki wbiegły do domu i po chwili zgasły wszystkie światła, kurtyna opadła, koniec spektaklu!

Właściciele już zamykają bar, mają wracać do domu samochodem i chcą mnie zabrać do siebie, ale jakoś nie mogę skorzystać z tego zaproszenia. Jedziemy do klasztoru żeńskiego. Przeorysza nie chce o tym słyszeć. „Nieznajomy człowiek i to w żeńskim klasztorze, wykluczone". Dopiero na plebanii innego kościoła ksiądz od razu zgodził się i zaprowadził mnie do pokoiku w budynku kościoła. Na moje pytanie, gdzie mógłbym powiesić wypraną bieliznę, bez wahania odrzekł, że najlepiej na krzesłach na ołtarzu, gdyż nad ołtarzem są dwa duże wiatraki i tam wyschnie najszybciej. W środku nocy obudziłem się straszliwie pokąsany przez komary i nie zastanawiając się zbytnio, chwyciłem materac i poszedłem z nim na ołtarz. Dopiero tam, pod wiatrakami, mogłem spać spokojnie. Na ołtarzu (sic!).

W poniedziałek, 14 stycznia, poszedłem do ratusza z prośbą, by mnie zawieźli na teren wielkich plantacji

yerby mate w Tacurú-Pucú. Niestety, odmówili, dodając, że Roa Bastos to wszystko zmyślił, że to nieprawda, co napisał, etc. Pojechałem więc do ogromnej elektrowni wodnej Itaipú. Jest to przedsiębiorstwo dwunarodowe, paragwajsko-brazylijskie. Prace przy budowie olbrzymiej zapory wodnej na Paranie zaczęły się w latach 80 i trwały do końca lat 90. To największa tego typu inwestycja na świecie. Powrót do Natalicio Talavera via San Pedro, gdzie ciekawy kościół franciszkański Świętego Piotra z epoki Lopezów (wiek XIX).

Nazajutrz stacja kolejowa w Villarrica, XIX i powrót do Ñemby. W czwartek, 17 stycznia, spotykam się z wybitnym malarzem Carlosem Colombino, przyjacielem Roa Bastosa, w tak zwanym Muzeum Gliny (*Museo del Barro*). Carlos Colombino był jednym z założycieli tego wspaniałego muzeum w 1979. Nadzwyczajnej piękności maski drewniane, indiańskie figurki gliniane, obrazy w najlepszym guście. Piękne!

Ruiny misji jezuickiej w San Ignacio.

W piątek, 18 stycznia, podróż do ruin misji jezuickich w Trinidad, na samym

południu, blisko Parany, w prowincji Itapúa. Tuż przy wejściu zaatakowały mnie – dosłownie, jak w filmie Hitchcocka! – jakieś czarne ptaszyska, podobne do kruków. Z trudem się opędziłem. Ale ruiny niesłychanie ciekawe. Zostało tu chyba jeszcze więcej ciekawych ozdób, rzeźb i płaskorzeźb, kolumn, łuków i pięknych portali, niż w San Ignacio Miní w Misiones. Ocalał posąg Świętego Pawła w niszy, cała kolumnada. Stąd już niedaleko do stolicy prowincji, Encarnación nad Paraną. Po drugiej stronie rzeki, Posadas, stolica Misiones i widok na Posadas jest w Encarnación najciekawszy. Poza tym, miasto jest nowe. Katedra chyba wręcz dwudziestowieczna, w stylu neoromańskim. Wracam nocą do Ñemby.

Nazajutrz pani profesor Ela Salazar zaprasza do siebie, gdzie na dziedzińcu stół z białymi kwiatami (kameliami?) w wazonie, a po obu stronach ustawione w krąg krzesła, na których siadają zaproszeni przez nią profesorowie, a ja – ku mojemu zdumieniu – mam zasiąść za tym stołem z kwiatami. Jest wśród profesorów poeta, który wręcza mi nagranie ze swoimi wierszami, a mnie proszą o wypowiedź na temat mojej pracy i organizacji studiów iberystycznych w Polsce. Dość sztywno. Kto to powiedział, że w Ameryce Łacińskiej jest taki luz i spontaniczność?

Wykonany przez Indian Guaraní portal kościoła w Yaguarón (Paragwaj).

W niedzielę, 20 stycznia, rano kupuję w Asunción magnetofon, taśmy i koszulę z *aópoí* (cienkiej białej tkaniny z haftem). W Yaguarón, 48 km od Asunción, najwspanialszy kościół franciszkański w Paragwaju pod wezwaniem Świętego Bonawentury, XVIII, z rzeźbami wykonanymi przez Indian Guaraní. Na drewnianym suficie cenne malowidła (kwiaty, rozety). Budynek jest bardzo charakterystyczny dla miejscowej architektury: niski, „rozłożysty", kryty wielkim dachem, który nakrywa zewnętrzne kolumnady. W pobliskim Paraguarí, podobny, choć nieco mniejszy kościół Świętego Tomasza Apostoła, XVIII. Tu szeroka fasada jest ozdobiona dwiema niewysokimi wieżami i nie ma kolumnady po obu stronach, jak w Yaguarón. Nad miasteczkiem wzgórze 180 m wysokości. Wieczorem docieram do Sapucái. Rozmawiam ze starszymi mieszkańcami i nikt nic nie wie na temat eksplozji wagonu wyładowanego bronią na stacji w latach 30 (o czym pisał Roa Bastos). Jeszcze jeden rys bardzo „realistycznej" fikcji pisarza.

W poniedziałek, 21 stycznia, powrót do Argentyny. Odcinek Asunción – Resistencia

wynosi 295 km. Resistencia leży nad rzeką Negro, 7km od jej ujścia do Parany. Jest miastem nowym, o niskiej zabudowie. Dookoła płaskie tereny równiny Chaco. Palmy *yatay* (*Butia yatay*). Młody ksiądz Daniel Skorupa okazuje się bardzo sympatyczny. Nazajutrz organizuje mi podróż do Villa Ángela. Stamtąd jedziemy do miejscowości Coronel du Graty. Razem 275 km. Coronel du Graty jest centrum uprawy bawełny na rozległych równinach. Nagrywam rozmowy z panią Górniakową i panem Władysławem Herbutem, bardzo ciekawe. Nocleg w Villa Ángela u miejscowego księdza Polaka. Uznał za stosowne z góry potraktować mnie za zwolennika systemu komunistycznego i za kogoś, kto na pewno był w Moskwie. Tak się złożyło, że w istocie byłem w Moskwie na wycieczce w 1980. W każdym razie zachował się fatalnie. Ksiądz Skorupa był oburzony, gdy mu o tym powiedziałem. Kolejny nocleg w Resistencia i w czwartek, 24 stycznia, wyjazd do Santa Fé, 534 km.

Tylko przejechałem przez miasto Santa Fé, gdzie przesiadłem się na autobus do leżącego po przeciwnej stronie Parany miasta Paraná. Pamiętam ogromny tunel pod rzeką, zbudowany przez Niemców w 1969. Ma prawie 3 km długości i znajduje się 32 m pod powierzchnią wody w Paranie. Odległość z Santa Fé do Paraná wynosi 30 km. Skontaktowałem się z lingwistką o nazwisku Claudia Greca i zamieszkałem w hotelu. Katedra w stylu eklektycznym jest z 1883, a ratusz z 1890. Z XIX wieku jest także kościół Świętego Michała. W najstarszej części miasta sporo parterowych dziewiętnastowiecznych domków. W piątek, 25 stycznia, byłem z Claudią u profesora Antonia Rubéna Turi, poety i lingwisty (1917-1992). Trochę spacerowaliśmy po mieście i nad Paraną i po południu odjechałem do Concepción del Uruguay, 268 km. Jorgego nie zastałem, był w La Plata. Była tylko jego żona. Nie pamiętam już, gdzie nocowałem, w każdym razie spotkałem się z Betiną Hercolini, która najprawdopodobniej załatwiła mi gdzieś nocleg.

W sobotę, 26 stycznia, zabieram cały mój bagaż i wyjeżdżam do Buenos Aires. Na dworcu autobusowym Retiro czekają Iza i Gabriel i wiozą mnie, oczywiście, do polskiej ambasady, gdzie dowiaduję się, że pokój gościnny zajęty. Chcąc nie chcąc zabierają mnie do siebie do Olivos. Śpię w pokoju ich córeczki, a ona z nimi. W niedzielę jadą gdzieś do znajomych, a mnie zostawiają, abym spokojnie mógł telefonować i załatwić sobie locum. Spotkałem się gdzieś w mieście z panami Borkowskim i Grabią-Jałbrzykowskim, którzy wiozą mnie aż do Burzaco, jak się okazuje. Jechaliśmy tam bardzo długo i to cały czas przez miasto. Pokonaliśmy

chyba z 40 km. W Burzaco jest ośrodek sportowy dla młodych Polaków. Drewniane baraki, piętrowe łóżka… Ale cóż, zgodziłem się tam przenieść. Szybki dojazd kolejką podmiejską do centrum Buenos Aires jest jedynym plusem… Mimo wszystko, po powrocie do kuzynki zatelefonowałem jeszcze do pana Stachury, a ten na to: „Najlepiej niech pan zatelefonuje do Frania S. Pewno się zgodzi”. I tak było. Nazajutrz, w poniedziałek, 28 stycznia, zabrałem ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy, a dużą walizkę zostawiłem u Izy i pojechałem do pana Frania.

Salta. Klasztor św. Bernarda.

Mieszka w centrum, na ulicy Sarmiento, stosunkowo blisko Obelisku. Miejsce

znakomite, a i atmosfera bardzo przyjemna. Jest weteranem drugiej wojny, walczył pod Monte Cassino. Po południu załatwiłem bilety lotnicze na odcinki Córdoba-Tucumán, Jujuy-Buenos Aires, Buenos Aires-Ushuaia i Ushuaia-Buenos Aires. We wtorek, 29 stycznia, wyjazd nocnym autobusem do Córdoby, drugiego największego miasta Argentyny. Odległość niebagatelna – 770 km. Zatrzymuję się u księdza Stanisława Małysy.

Nie pamiętam już, kto polecił mi kontakt z Alicią Malanca de Rodríguez Rojas, lingwistką i literatką, córką znanego malarza post-impresjonistycznego, José Américo Malanca (1897-1967). Może właśnie ksiądz Małysa? Ten kontakt okazał się niezwykle pożyteczny. Alicia nie tylko zlokalizowała moje koleżanki z kursu w Madrycie w 1968, Gladys Gatti i Yolandę Dethou, ale poleciła mi skontaktować się w Tucumán z Davidem Lagmanovichem, w Salta, z Juaną del Valle Rodas López (ona też była na kursie w Madrycie) i w Jujuy, ze swoją znajomą, lingwistką, której nazwiska nie mogę nigdzie odszukać, niestety! I nie było to wyłącznie polecenie, bo Alicia była tak miła, że zatelefonowała do tych osób i wszystko z nimi uzgodniła. Ksiądz Małysa z kolei poprosił swoją znajomą, Polkę (bardzo miłą panią), aby zechciała mi towarzyszyć podczas jednego ze spacerów po mieście.

Córdoba. Klasztor św. Teresy.

Córdoba wydała mi się fascynującym miastem, jedynym, gdzie pozostało tyle pamiątek po okresie kolonialnym. A więc szesnastowieczna katedra z 1577, przysadzista, z dwiema potężnymi dzwonnicami po bokach fasady i najwyższą wieżą nad prezbiterium, stary ratusz (*cabildo*), XVIII, długi biały jednopiętrowy budynek, z arkadami i balkonem, ozdobiony na samej górze stylowymi wazami. Obecnie, muzeum archeologiczne. Najbardziej spodobał mi się klasztor Świętej Teresy, XVII-XVIII, z pięknym dziedzińcem. Dawny rektorat, XVII, stylowy budynek kolonialny, siedziba najstarszego w Argentynie i czwartego w Ameryce uniwersytetu założonego przez Jezuitów, z piękną Aulą Magną. Ciekawe są też inne kościoły, Świętej Katarzyny, jezuicki Towarzystwa Jezusowego. Wyjątkowo oryginalnie wygląda Dom Markiza de Sobremonte z XVIII. Bardzo elegancką konstrukcją jest wzniesiony w stylu francuskim dawny Pałac Ferreira z początku XX, obecnie siedziba Muzeum Sztuk Pięknych.

Tucumán. Dom Niepodległości.

W towarzystwie Gladys Gatti wybrałem się też do Alta Gracia (36 km na południowy zachód od Córdoby), gdzie zwiedziliśmy dom Manuela de Falli (1876-1946). Kompozytor spędził tu na wygnaniu ostatnie lata życia, od momentu wybuchu wojny domowej w Hiszpanii, aż do śmierci. Jest to ładna willa w stylu tyrolskim, o częściowo szachulcowej konstrukcji, z zielonymi okiennicami. W Alta Gracia jest też duży kompleks jezuicki z klasztorem i kościołem o wyniosłej wieży. Zdaje mi się, że nie zdążyliśmy go zwiedzić. Szkoda!

Jak na pięć dni spędzonych w Córdobie, wykorzystałem czas do maksimum. Pojechałem jeszcze na północ do La Granja (53 km od Córdoby), gdzie u stóp gór zwanych *Sierra de Córdoba* odbywają się kolonie letnie dla dzieci tutejszych Polaków. Zastałem tam panią Bielesiową, która przeprowadziła ze mną wywiad opublikowany później w *Głosie Polskim* w Buenos Aires.

Na koniec, Yolanda Dethou zaprosiła Alicię Malankę, Gladys Gatti i mnie na bardzo miłą kolację u siebie w domu. Było bardzo serdecznie.

W niedzielę, 3 lutego, odleciałem do Tucumán, 530 km. Na lotnisku czekał pisarz i lingwista David Lagmanovich (1927-2010). Spędziłem u niego jedną noc. Nazajutrz oglądałem to piąte pod względem wielkości miasto Argentyny (po Buenos Aires, Córdobie, Rosario i Mendozie). Jedynym domem kolonialnym jest *Casa de la Independencia* (Dom Niepodległości) XVII, niski, parterowy, z salomonowymi kolumnami przy wejściu i trzema dziedzińcami wewnątrz. To tu 9 lipca 1816 Kongres Tukumański ogłosił niepodległość zjednoczonych prowincji La Platy. Podobno katedra była zbudowana w XVI, ale jej obecny wygląd pochodzi z roku 1856 i wykazuje cechy architektury włoskiej owego czasu. Bazylika Świętego Franciszka jest z końca XIX, a bazylika Matki Boskiej Łaskawej została wzniesiona w połowie XX wieku w stylu neokolonialnym. Na wspaniale zadrzewionym Placu Niepodległości rzeźba przedstawiająca wolność. Jej autorką jest Lola Mora (1866-1936), która urodziła się właśnie w prowincji Tucumán. Bardzo elegancki jest dom zarządu prowincji (*Casa de Gobierno*), 1910, w wykwintnym stylu francuskim.

Tego samego dnia (poniedziałek, 4 lutego) po południu David odprowadza mnie na dworzec autobusowy, skąd odjeżdżam do Salty, 260 km. Po drodze piękne krajobrazy w Tafí del Valle i w Quebrada de Cafayate: czerwone skały, doliny, winnice. W Salta czeka na mnie Juana del Valle Rodas López, znajoma sprzed… 23 lat, z kursu lingwistyki w Madrycie. Pamiętam, że w Madrycie udzielałem jej lekcji francuskiego. Strasznie pocięły mnie u niej komary w nocy.

Salta leży na wysokości 1187 m, w dolinie rzeki Lerma. Znana jest ze swoich zabytków neokolonialnych, z których najważniejszym jest ratusz (*cabildo*). Oryginalny budynek pochodzi z końca XVIII, ale w 1945 był gruntownie restaurowany. Jest podłużny, dwukondygnacyjny, z arkadami na obu kondygnacjach, z balkonem i wieżą pośrodku. Obecnie mieszczą sie tam 2 muzea. Na parterze, Muzeum Historyczne, a na piętrze, Muzeum Kolonialne i Sztuk Pięknych. Katedra i klasztor Świętego Franciszka w stylu neoklasycznym są z XIX. Elegancką budowlą neokolonialną jest też Teatr Victoria. Nad miastem wzgórze Świętego Bernarda, 200 m wysokości, skąd obszerny widok na całe miasto i okoliczne góry. Miasto jest przyjemne, dość atrakcyjne. W okresie kolonialnym pełniło rolę łącznika między

Limą a Buenos Aires.

Pod wieczór we wtorek, 5 lutego, wyjazd autobusem do Jujuy, 97 km. Jechał wolno i bardzo się spóźnił. Miałem wyrzuty sumienia wobec czekających na mnie państwa, przemiłych zresztą ludzi. Wieczorem niewiele było czasu, ale, zdaje się, miałem chwilę, by zajrzeć do neoklasycznej katedry z XVIII, z barokową amboną z XVII. Najstarszym zabytkiem jest tu kaplica Świętej Barbary z 1777, z drewnianym, malowanym sufitem. Kościół Swiętego Franciszka jest z początku XX, ale ambonę ma z XVIII.

Humahuaca (prowincja Jujuy).

W środę, 6 lutego, bardzo wcześnie pobudka. Jedziemy daleko na północ, aż do doliny Humahuaca, 126 km. Pierwszą atrakcją jest Purmamarca i Góra Siedmiu Kolorów: skały mają długie poprzeczne warstwy w różnych kolorach, od ochry, przez brąz i czerwień do zieleni i błękitu. Kolejny postój to Tilcara, gdzie inkaska forteca z kamieni, a wokół, morze kaktusów na stokach górskich. I tu zbocza mają piękny ciemnoczerwony kolor. Wreszcie Humahuaca, gdzie pomnik bohaterów walk o niepodległość, wśród nich Indianie. Obiad przy akompaniamencie indiańskiej kapeli ludowej w bardzo miłej atmosferze. W pobliżu niewielki kościółek.

Purmamarca (prowincja Jujuy).

Po południu powrót samolotem do Buenos Aires (1654 km), gdzie nazajutrz zwiedzam Muzeum Historyczne. Bardzo bogate zbiory.

W sobotę, 9 lutego, odlot do Ushuaia na Ziemi Ognistej, 3496 km. Przesiadka na inny samolot w Río Gallegos, jeszcze w Patagonii. Ziąb niebywały. W Ushuaia nocuję u miejscowego księdza. Zapisuję się na niedzielną wycieczkę na trasie Almanza – Wyspa Pingwinów – Hacjenda Harberton.

Ushuaia, Wyspa Pingwinów.

Do Almanza dowożą nas autobusem, a tam wsiadamy na katamaran. Płyniemy bardzo długo. Jest pochmurno i zimno. Często pada deszcz. Szczyty gór w chmurach. Co jakiś czas lwy morskie, kormorany i wreszcie wyspa pingwinów (*Isla Martillo*). Pasażerowie na statku wpadają w szał. W podnieceniu strzelają zdjęcia jedno za drugim. Okazuje się, że odległość między Ushuaia a Hacjendą Harberton wynosi… 85 km. Po powrocie do Ushuaia jeszcze wizyta u pana Zapruckiego, który tam mieszka z żoną Chilijką. O godzinie 23-ej wychodzę od niego i jest całkiem widno!

W poniedziałek, 11 lutego, rano, powrót do Buenos Aires. Nazajutrz pan Lichota z Ambasady Polskiej wiezie mnie na lotnisko Ezeiza i odlatuję do Madrytu. Pobyt w

Argentynie i w Paragwaju trwał trzy miesiące. Przemierzyłem tysiące kilometrów, zwiedziłem najróżniejsze regiony. Jestem zadowolony.

Poprzednie części wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego:

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-ii/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-iii/